

Nie mam dla niej dobrej nazwy, ale wierzę, że w antropologii/etnologii powinna powstać specjalność, w ramach której gromadzono by i analizowano materiały na temat ucieczek i wszelkich przypadków wyswobodzenia się człowieka z niewoli, więzienia, zesłania. Taka nauka (może eskapologia? chyba lepiej z grecka: eleuterystyka) musiałaby zbierać opisy uwolnień, by na tej podstawie budować strategię ratowania się, przewycięzania przeszkód naturalnych i sztucznych, pokonywania ludzi wrogich i przekonywania obojętnych. Mogłaby nanosić na mapę ich trasy, tworząc siatkę linii oplatających cały glob. Wynikłyby z tego jakieś nowe modele i schematy („liminalna faza anty-obrzędu przejścia od Niewoli do Wolności”), ale też praktyczny pożytek dla przyszłych uciekających – katalog typowych błędów, wskazanie na momenty newralgiczne i podstawowe zagrożenia.

Etнологia ma tu dobre prawo pierwszeństwa. Może się powołać ma przypadek markiza Condorceta, który w jej historii zajmuje poczesne miejsce jako autor *Szkicu postępu ducha ludzkiego poprzez dzieje*. Po wybuchu rewolucji francuskiej ten liberał i aktywny wróg terroru miał powody obawiać się o swą głowę i zaszył się w paryskim ukryciu. Po pewnym czasie, by nie narażać osób udzielających mu schronienia, opuścił miasto, a po kilku dniach prowadzony głodem trafił do podparyskiego Clamart, gdzie w jakiejś oberży zamówił omlet. Oberżysta spytał go, z ilu ma być jajek. Światły encyklopedysta wiedział bardzo wiele, ale nigdy nie zadał sobie trudu dowiedzenia się, ile jaj potrzeba do zrobienia omletu – odpalił więc na chybił-trafił, że z dwunastu. Wzbudziło to w karczmarzu podejrzenie, że nie ma do czynienia z prostym człowiekiem. Cichcem powiadomił kogo trzeba i nasz uciekinier został zatrzymany, a w parę dni później zapłacił życiem za swoją niewiedzę.

Historię tę poznałem dzięki innemu klasykowi etnologowi, Jamesowi George'owi Frazerowi.¹ Pewnie była ona swego czasu dobrze znana, nie wymagała objaśnień. Aluzja do niej pojawia się przecież bez dalszego tłumaczenia w powieściowej scenie – w *Józefie Balsamo* Aleksandra Dumas – w której podczas kolacji w arystokratycznym towarzystwie obdarzony nadnaturalnymi zdolnościami Balsamo-Cagliostro przepowiada zgromadzonemu, co będzie przyczyną ich śmierci; pod adresem Condorceta pada wtedy budząca wesołość przepowiednia, że umrze on od... jajka.

Nie czytając Frazera, nie zrozumiałbym dowcipu, tak jak nie rozumiał go najwyraźniej redaktor współczesnego wydania, skoro nie dał tu żadnego komentarza, wyjaśniającego zapomnianą dziś historyjkę, a niegdyś znaną anegdotę o oczywistym dla czytelnika sensie.

Przyszła nauka o ucieczkach dokona ich klasyfikacji, podzieli je na udane i nieudane, znane i nieznanne, praw-

JERZY S. WASILEWSKI

Śladami wymyślonej ucieczki

dziwe i nieprawdziwe. W relacjach z nich poszuka toposów, konwencji, chwytów. Wskaże te wiarygodne, fałszywe i przesadzone. Takie kwalifikacje nie będą absolutne, muszą ulegać zmianie wraz z zapominaniem jakiegoś motywu lub odwrotnie – z rozwojem badań. Oto np. relacja Maurycego Beniowskiego z jego morskiej ucieczki z kamczackiego zesłania była od dawna przedmiotem debaty, w której oskarżano autora o konfabulację; sąd ten trzeba chyba zmienić w wyniku niedawnych prac zasłużonego dla polskiej orientalistyki Edmunda Kajdańskiego, który przez drobiazgową analizę tekstu i kompetentne porównanie go ze źródłami marynistycznymi dowiódł, że ten awanturnik naprawdę otarł się o brzegi Alaski.²

Długi marsz – relacja zmarłego przed kilkoma miesiącami w Anglii Sławomira Rawicza, wrześniowego kawalerzysty z Pińska rodem, który aresztowany przez Rosjan i skazany w wieku dwudziestu pięciu lat na tyle samo lat syberyjskiego obozu ucieka przez Mongolię, Tybet i Himalaje do brytyjskich Indii, by w końcu znaleźć się w polskich siłach zbrojnych na Zachodzie – dopiero w ostatnich latach robi światową karierę.³ Czekala na nią ponad czterdzieści lat, licząc od daty pierwszego, niepozornego angielskiego wydania. Dziś jej łączny nakład w różnych językach dojdzie niebawem do miliona, ostatnią edycję opatruje przedmową sam Nicolas Bouvier, papież podróżników, recenzują ją największe światowe czasopisma, BBC zrobiła film telewizyjny, a Hollywood zakupił prawa do wielkiej ekranizacji kinowej. Wykorzystują ją jako źródło znani autorzy książek poważnych: a to Anne Applebaum, pisząca o Gulagu (nagroda Pullitzera 2003), a to himalaista Reinhold Messner, który przytacza Rawiczowy opis spotkania z yeti w swojej niedawnej książce, gdzie krytycznie analizuje przekazy na temat himalajskiego „człowieka śniegu”. Globtroterskie sławy, takie jak francuski autor-filmowiec Sylvain Tesson z towarzyszem, rozpoczęły już przejście tą samą trasą.⁴

Tamto stare wydanie *The Long Walk* wpadło mi w ręce po raz pierwszy na początku lat osiemdziesiątych, a dowiedziałem się o nim z pewnej amerykańskiej bibliografii książek zawierających doniesienia o spotkaniu z yeti. Nie była to wtedy pozycja znana, ale w bibliotece dobrego amerykańskiego uniwersytetu okazała się łatwa do odnalezienia. Biednie wydana

– szary, byle jaki papier, amatorskie szkicowe rysunki, zapewne niewielki nakład.

Najbardziej mnie interesująca część azjatycka okazała się zaskakująco uboga w konkrety. Po jej przeczytaniu wzruszyłem ramionami, i to wcale nie ze względu na krótki opis widzianej z oddali pary ni to ludzi, ni to zwierząt. Znając część opisanej trasy z autopsji, nie miałem wątpliwości – ta książka to oczywista fikcja, naiwna i rażąco nieprawdziwa, przynajmniej od połowy, kiedy młody narrator we wzorowo międzynarodowym towarzystwie (typowym dla młodzieżowej literatury przygodowo-podróżniczej) wyswobadza się z drutów jakuckiego łagru i dzielnie przewodząc towarzyszom niedoli pokonuje na piechotę kilka tysięcy kilometrów. Załączona mapka śmiałą kreską zaznacza szlak przecinający rzeki Lenę i Witim, pasma Gór Jabłonowych, Czerskiego, Borszczowoczných i parę mniejszych, prowadzący dalej wschodnim brzegiem Bajkału, przez mongolski Chentej, step, pustynię Gobi, tybetański płaskowyż, by gdzieś na zachód od Lhasy przekroczyć grzbiety Himalajów i zakończyć się w nienazwanej miejscowości we wschodnich Indiach. Co do wcześniejszych indywidualnych perypetii bohatera, to nie wątpię w ich prawdziwość, bo aresztowanie przez Rosjan po wrześniu 1939 roku, Łubianka i inne więzienia, droga na Syberię, łagry – to oczywiste elementy losu niedojadłego, zwłaszcza kresowego Polaka tamtych czasów.

Po lekturze wzruszyłem zatem ramionami i nie dokonywałem dalszych sądów krytycznych. Rozumiałem, że opublikowanie doniesienia o sowieckich łagrach w powojennej Europie, gdzie nikt nie chciał słyszeć prawdy o zbrodniach niedawnego sojusznika (przed Solżenicynem przecież nawet Herling nie był w stanie przebić się przez ten mur), było możliwe jedynie pod warunkiem ubrania relacji w kostium przygody i dodanie orientalizującego sztafażu.

Powoli zapominałem szczegóły książki, która jednak – na przekór wszelkim spodziewaniom – wydostała się ze zbiorowej mogiły. Po roku 1989 mogło już ukazać się jej wydanie polskie, na którego podstawie zrobiono filmik telewizyjny (z tymi samymi biednymi rysunkami w roli materiału ilustracyjnego), pojawiały się jakieś wzmianki w prasie, potem w Internecie – i wszystkie pochlebne. Zatrąbiła narodowa trąbka: „któż inny jak nie Polak mógł być inicjatorem takiego przedsięwzięcia”, „drugi Rufin Piotrowski” (XIX-wieczny zesłaniec-uciekiniar), domagano się dla autora orderu Polonia Restituta.⁵

Chyba dość nagle wybuchła też światowa kariera *Długiego marszu*. Czulem się coraz dziwniej: czy tylko ja widzę, że król jest nagi? A może się mylę, może zapomniałem lub przeoczyłem jakąś wartość tej książki w trakcie dawnej, anglojęzycznej lektury?

3.

Etnolog jadący w teren ma czasem okazję kroczyć śladami jakiegoś sławnego poprzednika, oglądać tę sa-

mą, ale już zmienioną scenerię, porównywać widoki z opisami. Podróżujący po Tybecie u schyłku XIX wieku rosyjski badacz Pozdniejew spotkał (a nawet korzystał z usług) tego samego przewodnika, o którym pisali wcześniejsi o pół wieku pionierzy europejskiej eksploracji, francuscy misjonarze Huc i Gabet.

Poruszając się w ciągu kilkunastu lat po różnych partiach tych samych bezdroży, przez które jakoby przeszedł „Slav” i jego towarzysze, zadawałem sobie często pytanie: jak naprawdę musiałaby przebiegać taka ucieczka, gdyby rzeczywiście miała miejsce? Jak powinien wyglądać opis tych krain, gdyby autor widział je naprawdę? Co mogłoby i musiało zdarzyć się po drodze, a nie ma o tym w relacji, bo autor zmyślił ją, nie znając tamtejszych realiów? Co powinno było znaleźć się w opisie, bym mógł uwierzyć w jego prawdziwość?

Na syberyjskie rzeki, na tajgę z jej moczarami i gęstwina, na mongolskie i tybetańskie bezludzia patrzyłem pytając: czy tędy dałoby się przejść i dojść do obranego celu – bez mapy, kompasu, bez dobrych butów i odzieży, bez broni, lekarstw i środków zdobywania pożywienia, bez elementarnej znajomości języków i realiów geograficzno-politycznych? Czy można było przeżyć, mając przez cały czas za wrogów zarówno przyrodę, a więc brak ludzi, jak i ich obecność? Albowiem przez ponad połowę trasy, w granicach stalinowskiego systemu, każdy jego syberyjski czy mongolski poddany musiał być chcąc – nie chcąc prześladowcą uciekinierów; natomiast w drugiej połowie trzeba było iść przez tereny ogarniętych wojennym rozgardiaszem Chin północnych i płataninę pasm górskich wschodniego Tybetu, gdzie grasowały bandy niepłaconych żołnierzy i rabusiów, w tym zwłaszcza z plemion Kham-pów i Goloków, którzy napadanie na przejezdnych traktowali jak sport.

Dopiero niedawno, będąc w Jakucji, zaznajomiłem się z chronologicznie pierwszym, a dotąd mi nieznanym, odcinkiem Rawiczowego szlaku; tam przeczytałem książkę po polsku – z tymi samymi uczuciami zmieszania i zażenowania, co kiedyś. Jak można traktować ją jako autentyk i stawiać autorowi pomnik? Przecież to okraszona głośliwymi zapewnieniami o prawdziwości powieść przygodowa, która co najwyżej w swej początkowej partii (aresztowanie, obóz) relacjonuje czyjeś autentyczne losy. W tej części, która zapewniła jej popularność, nie jest dokumentem, ale właśnie powieścią młodzieżową, zawierającą tak wiele naiwnych wyobrażeń, prostodusznych lapsusów i pomysłów z kalendarza, że zwłaszcza ktoś, kto był w tych miejscach, musi zakwestionować prawdziwość opisów – ubogich w konkrety, a bogatych w błędy i groteskowe zmyślenia.

Chwalący tę książkę nie zauważyli, że autor miesza ze sobą elementy dwóch konwencji – wspomnieniowej i fabularnej. Zapewnienia, iż naprawdę przebył tę niewiarygodną peregrynację, formułuje w pierwszej, ale „dowodów” dostarcza, niestety, tylko w konwencji

Konno przez Sajany
Fot. Jerzy S. Wasilewski



przygodowej. Nie daje żadnych poważnych świadectw wiarygodności, nie stara się przekonać ewentualnych sceptyków. Wrażenie prawdziwości stara się stworzyć na dwa równie sprytnie naiwne sposoby: albo tłumaczy się niepamięcią w odniesieniu do spraw zasadniczych, albo serwuje pozornie konkretne szczegóły, które nie mają żadnej wartości dokumentalnej. Z jednej strony są zatem częste tłumaczenia, że „nie potrafię sobie przypomnieć, jak kolejno zmieniała się topografia” (s. 124); z drugiej – kompensująca to zmyślona szczegółowość, pozorująca realność wydarzeń, takich jak dokładne podawanie nic nieznaczących szczegółów, np. że wspinaczka trwała pół godziny. Kiedy autor pisze, że ogrodzenie tybetańskiego domu miało około metra wysokości, to niewiele ryzykuje, zmyślając (bo ile mogło mieć – przecież nie pół metra ani nie pięć); jednak nie podaje już informacji, czy było ono z drewna, kamienia, cegły, gliny czy krowiego nawozu – bo to musiałby naprawdę wiedzieć.

Popatrzmy, co jest w tekście i jak to się ma do realiów znanych etnografowi. Zignorujmy całą tę paplaninę – infantylne dialogi włożone w usta wymyślonych, wyciętych z papieru postaci: dziarskiego rotmistrza, jowialnego silacza, milczącego Amerykanina Smitha (który nie ma nawet imienia) i paru innych oraz dodanego na okrasę tej męskiej monokultury polskiego dziewczęcia, Krystyny, znalezionej przypadkiem w tajdze (sztuczne to jak przedwojenna kinematografia). Nie chodzi o krytykę literacką, ale o weryfikację autentyczności zdarzeń, które miały jakoby leżeć u jej podstaw. Jeśli rzeczywiście grupa więźniów łagru doszła aż do Indii, to kwestią zasadniczą nie były ich rozmówki, chętnie serwowane przez autora, ale sposoby pokonywania przeszkód terenowych i zdobywania pożywienia oraz rozumna obserwacja tego, co ich otacza-

ło – a to wypada w tekście wręcz fatalnie. Zadajmy zatem trzy podstawowe pytania: jak szli bohaterowie, co widzieli i czym się odżywiali?

4.

Zacznijmy od ucieczki, a więc od połowy książki, kiedy to w kwietniu 1941 roku siedmiu mężczyzn wydostało się nocą przez druty obozu nr 303, położonego gdzieś niedaleko Jakucka i – mając w oczach mapę, widzianą przez Rawicza u komendanta obozu – skierowało się prosto ku Indiom.

Dla dzielnych wędrowców znalezienie drogi nie było żadnym problemem – wystarczyło, że najpierw będą szli na południe, w dowolnym miejscu przekroczą zamrożoną Lenę i skierują się ogólnie na południowy zachód. Nawet pościgu nie bali się zbyt długo, bo ślady zasypywał śnieg. Wszystko szło zatem jak z płatka. Przeszedłszy rzekę, „napiliśmy się jeszcze zimnej, czystej wody z Leny, wspięliśmy się na wysoki brzeg i ruszyliśmy naprzód, w kierunku jeziora Bajkał, następnego etapu naszej wędrówki” (s. 122). Pięknie powiedziane, ale nawet z wysokiego brzegu nie było przecież widać oddalonego o tysiąc kilometrów w linii prostej jeziora, wąskiego jak igła (w syberyjskich proporcjach) i oddzielonego niezliczonymi górami. Jak zatem określili kierunek marszu, że już po paru tygodniach znaleźli się dokładnie nad jego świętymi wodami? Ale dajmy spokój fikcji przygodowo-powieściowego myślenia – w realiach górskich nie ma przecież możliwości marszu po najkrótszej linii. Należałoby raczej spytać, którędy musieliby naprawdę iść uciekinierzy, po czym opisać, jak wygląda taka droga i porównać to z wersją książkową, by wskazać, że nie ma tam tego, co być powinno, a jest to, czego być nie mogło.

O tej porze roku prawdziwą drogą pieszej ucieczki mogłaby być tylko Lena, zamrznięta zawsze do maja, kiedy to zaczyna się *ledochód*, a w późniejszych miesiącach idący wzdłuż niej trakt Irkuck – Jakuck. Ten trakt, podstawowa linia komunikacji lądowej między południową Syberią a Jakucją, liczył zawsze 2761 km i ani jednego kilometra mniej. Poruszanie się nim – tak jak i samą Leną – groziło może niepożądanymi spotkaniami, ale był to przynajmniej wytyczony szlak, przetarty i równy; na zamrzniętej rzece jedyną przeszkodą, a i to niewielką, mogły być wypiętrzone zwały lodowe – *torosy*. Musiało to skusić każdego uciekiniera. Bo przecież wszędzie dookoła jest tylko gęsta tajga, w maju może już nie bardzo zaśnieżona (zresztą zarówno Jakucja, jak i dalsze obszary stepowe to kraina kontynentalnego klimatu, bez obfitych opadów zimą; jednak w wyższych górach śnieg byłby prawdziwą przeszkodą). Jej pokonywanie oznaczałoby ciągle przedzieranie się przez suche, czarne gałęzie modrzewi, przekraczanie zwalonych pni, obchodzenie błot i grzęzawisk, mordercze brnięcia w górach.

Tajga to teren niełatwy do chodzenia, zwłaszcza na wprost. To wcale nie potężne okazy drzew, wśród których przechadzka byłaby przyjemnością – to gęsty las modrzewi, sosen, brzoź, wprawdzie wysokich, ale niezbyt dorodnych. Obecność lodowej zmarzliny tuż pod powierzchnią uniemożliwia im głębokie zakorzenienie, co sprawia, że cięższe wywracają się, tarasując przejścia, i tak zarośnięte gęstymi krzakami. Do ich przecinania służyły Jakutom krótkie żelazne maczety na trzonku, tzw. *palmy*.

Nie rozpoznają tego wszystkiego w takich oto opisach: „pagórkowate tereny z rzadka porośnięte karłowatymi drzewami i krzakami”, „teren zarośnięty karłowatymi drzewami, krzakami i kępami traw” (s. 122, 124).

Oczywiście, niecały obszar, który mieliby do pokonania nasi uciekinierzy stanowiła tajga (ale też na pewno nie byłaby to tundra z opisu powyżej). Początkowe równinne obszary centralne, z brzożami i olchami, powinny przypomnieć autorowi rodzime Polesie (czego nie dostrzega). Częstym elementem jakuckiego pejzażu, na który musieliby się natknąć wśród lasów, są kilkukilometrowe „polany”, tzw. *alasy*. Zarodek *alasu* stanowi powiększające się latami jeziorko z wytopionej zmarzliny, wokół którego rosną trawy, dobre do wypasu i sianokosów. Stoi tam zwykle jeden lub kilka *balaganów* – domów z bali, o ukośnych ścianach, obmazanych krowim nawozem i takie same zabudowania gospodarcze, a na skraju – parę starych krzyży rodzinnego cmentarzyka. Ta typowa forma odosobnionego letniego bytowania Jakutów sprzed kolektywizacji była w czasach stalinowskich zastępowana standardowymi domami w kolchozowych wioskach, ale przetrwała do lat 60., kiedy to padła ostatecznie ofiarą polityki *ukrupnienia* (przesiedlania ludzi do większych wsi). Do dziś jeżdżąc po ulusach centralnej Jakucji spotyka się takie opuszczone chutory.

Przez obszary bezleśne przepływają często podskórne cieki wodne, powodujące zabagnienia na długości kilkudziesięciu kilometrów, które trzeba całymi dniami obchodzić, gubiąc się i myląc zasadniczy kierunek. Po majowych roztopach na miejscu zamrzniętego i dającego się przejść gruntu pojawiają się grzęzawiska; zaraz wylęgają się tu chmary meszek i komarów, które przez całe lato nie dadzą spokojnie przejść przez tajgę; będzie je wspominał każdy, kto tam był – poza autorem.

Można by dalej pytać, dlaczego nie zaobserwował takich szczegółów, jak odczuwalne w czerwcu „białe noce”, nie skomentował obfitości kwiatów, pojawiających się wraz z falą wiosny, która w błyskawicznym tempie zalewa tajgę (zwłaszcza jeśli idzie się na południe), nie podał kolejności dojrzewania latem jagód, którymi powinien się po drodze żywić (najwcześniej poziomki, potem czarne i czerwone porzeczki, czarne jagody, na końcu brusznice), nie zwrócił uwagi na mnóstwo jadalnych pieczarek w stepie (za to wymyślił tam rydze) itd.

Wraz z wkroczeniem na tereny tajgi górskiej musiałyby się zacząć ustawiczne, mozolne wchodzenie i schodzenie, które szybko zaowocowałyby zwątpieniem: czy przedzierać się prosto na przełaj, czy raczej korzystać z myśliwskich ścieżek i kuszących dolinek; łatwiej byłoby nimi iść, ale za to wiodły one w bok, niebezpiecznie blisko ludzkich siedzib, skądinąd również pociągających dla wygłodniałych zbiegów. Zaczęłyby się ciągle błędzenie, powroty na to samo miejsce po całych dniach wyczerpującego marszu w koło, okresy apatii, gdy chmury i deszcz uniemożliwiał orientację.

Nawet miejscowi gubią się na całe tygodnie w bezludnej tajdze (donoszą o tym co lato jakuckie gazety), strzelba – której uciekinierzy nie mieli – jest zasadniczym warunkiem przetrwania. Korzystanie ze znanych wszystkich przejść lokalnych przewodników było i jest kolejnym nieodzownym elementem podróży po górzystych partiach Syberii; piszą o tym dawni kupcy i eksploratorzy. Opis próby samodzielnego przejścia małego kawałka tej drogi, właśnie wschodnim brzegiem Bajkału, zostawił nam Konstanty Rengarten, który w ostatnich latach XIX wieku szedł pieszo do Chin (i tak zatytułował swoją opowieść, pełną krajoznawczych szczegółów). Męczarnię bezowocnego przedzierania się na własną rękę przez zarośla, stromizny i źleby, kwituje słowami: „Las dziewiczy dał mi dobrą nauczkę, żeby nigdy nie zwiedzać go bez przewodnika”. A przecież ten nieprzemyślany epizod trwał tylko jeden dzień!⁶

Ale nasz autor potrafi sobie poradzić, a jak nie wie, to zmyśli. „Trzeciego dnia, gdy oddaliliśmy się od jeziora, doszedłem do wniosku, że osiągnęliśmy punkt, w którym należało skrócić na południe, by trafić na szlak wiodący w odległości kilkudziesięciu kilometrów od brzegów jeziora” (s. 142). A wolno spytać, w oparciu o co dochodzi się właśnie trzeciego dnia do takiego wniosku? I co to za szlak, i skąd o nim można się dowiedzieć, i jak go w tajdze znaleźć? Tak pisać może



Jak przejść przez taką rzekę - Jangcy w górnym biegu. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Ulica modlitewnych młynków. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Pora deszczowa we wschodnim Tybecie. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Z młynkiem modlitewnym w ręku. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Tybetańczyk z Syczuanu. Fot. Jerzy S. Wasilewski

tylko ktoś, kto przed oczami ma pustą kartkę papieru, a nie rzeczywiste doświadczenia, i pomaga sobie wodząc palcem po mapie.

Ta dziwna droga prowadzi nas do jeszcze dziwniejszej krainy. Ledwie uciekinierzy wyszli znad Bajkału, a już znaleźli się „w krainie sadów, kwitnących wiśni i moreli” (s. 145). Jako żywo, zdziwiliby się mieszkańcy Zabajkala, dowiadując się, że mieszkają wśród sadów! Kolejne absolutne zmyślenie z zakresu flory: bawełna. Oto czekający na dogodny moment, by przekroczyć tory kolei transsyberyjskiej (ten prozaiczny fakt jest rozwinięty w nie lada jaki thriller) widzą „przechodzącą w oddali karawanę wielbłądów obładowanych bawełną” (s. 152). Te ustawiczne południowe motywy u autora, który był jakoby w łagrze na północnej Syberii, muszą dawać do myślenia...

Pora w końcu zapytać, co też jedli nasi bohaterowie. Otóż okazuje się, że całkiem spory zapas pożywienia można było odłożyć z głodowych obozowych porcji (i to już po krótkim tam pobycie), a zresztą tajga wprost sama dostarcza żywności, nawet tym, co nie mają strzelby. Pomysłowości nie powstydziłby się baron Münchhausen. „Jeden szczęśliwy rzut kijem, trochę szamotania, pył wzbitego w górę śniegu – i świetna kolacja z syberyjskiego zająca dla wszystkich” (s. 123); potem jest jeszcze weselej: na drodze uciekinierów znalazł się jeleni, zapłatany rogami w korzenie zwalonego drzewa, który dostarczył siedmiu mężczyznom takiej ilości mięsa, że nie byli w stanie dźwigać go ze sobą; na rewelacje owocowe przyjdzie jeszcze czas.

Pisarz jest wobec swego czytelnika w dużo bardziej komfortowej sytuacji, niż uciekinier wobec swego żołędka. Może z łatwością powiedzieć słuchaczowi, że „minęło kilka tygodni” (s. 128) i okrasić to jednym polowaniem na jelenia, a czytelnik nie będzie wymagał codziennego opisywania, jak udało się zdobyć żywność. Inaczej żołądek; ten domaga się jedzenia co dzień, a do jakiego stanu potrafi doprowadzić psychikę, kiedy jest pusty – o tym pisali ci, którzy naprawdę przeszli przez obozy i nie zrobili z tego wesołkowej przygody.

5.

Wejście na teren Mongolii rozpoczyna autor od opisu, który jest wystarczającym dowodem, że nigdy w życiu, ani przez chwilę tam nie był. Oto wśród „terenów uprawnych” przepływają „liczne rzeki, którymi płynęły wyladowane sampany. Łodzie musiały płynąć do Urgi, miasta leżącego u zbiegu trzech rzek” (s. 159). Śmiać się czy płakać, czytając o tych terenach uprawnych i wyladowanych sampanach, których jako żywo nigdy tam być nie mogło, bo płyną dopiero po rzekach południowych Chin? A gdy jeszcze okaże się niebawem, czym są one wyladowane... Otóż „melonami wielkości piłki futbolowej!” (s. 168). Nasz Münchhausen śmiało raczy nas zapewnieniami: „widzieliśmy później wiele dżonek na innych rzekach Mongolii Zewnętrznej” (s. 162). Na niejednej z nich Chińczyk

„odziany w charakterystyczny stożkowy kapelusz” pozdrawia ich z uśmiechem (s. 161), zaś na łądzie mongolskie powitania brzmią „oby twoje nogi służyły ci jak najlepiej w drodze” (s. 163; byłby to dobry przykład do studium nad zmyślonymi konwersacjami prowadzonymi przez Europejczyków z literackimi tubylcami, typu „ile odmieniło się księżyców, odkąd szlachetny pan raczył opuścić progi swego pałacu?”). Z Mongołami zamieszkującymi „wioski o płaskich dachach” (nie jest to chyba najdokładniejszy opis obozowiska białych, wojskowych jurt) rozmawia autor po rosyjsku (którego nieksiążkowi Mongołowie absolutnie nie znają) o ich osłach i mulach (których tam nie ma), oni zaś częstują go figami i orzechami (jak wyżej). A nawet tym, którzy nie rozumieją rosyjskiego, wystarczy powiedzieć słowo „Lhasa”, by „wywołać w odpowiedzi gest ręki, wskazujący kierunek” (s. 158). Zapewne w Azji wszystkie drogi prowadzą do Lhasy, co bardzo ułatwia wymyśloną wędrówkę.

Skądinąd owe melony, które nasi uciekinierzy dostali od wdzięcznego starego Chińczyka za pomoc w ściągnięciu dżonki z mielizny, rozwiązały najwyraźniej (autorowi) problem zdobywania żywności – wszyscy, łącznie z czytelnikiem, objedli się nimi tak, że nie trzeba było wracać do tej przyziemnej kwestii aż do końca pobytu w Mongolii. No, gdzieś jeszcze pojawi się jednozdaniowe zapewnienie, że „nieraz trzeba było zatrzymać się na kilka godzin, by [...] po prostu zarobić na żywność” (s. 169). Nie wiadomo wprawdzie, jaka to była żywność i jak na nią zarabiano, ale na pewno „po prostu”.

Jakże rozczarowany byłby prawdziwy uciekinier, który zamiast tych serdeczności i smakołyków musiałby się zetknąć z prawdziwym obliczem stalinowskiej (czojbałsanowskiej) Mongolii. Bez dżonek i melonów, w biedzie wyłącznie pasterskiej gospodarki, za to z obsesją szpiegów i agentów, świeżą jeszcze po ledwie co wygasłych walkach z Japończykami nad Chałchyn goł. Bo ten pasterz owiec, zdziwiony wizytą w jurcie gromady cudzoziemców, belkoczących coś rozpaczliwie – już by on wiedział, tak samo jak ów oberżysta z Clamart, kogo i gdzie trzeba powiadomić. Nie później niż nazajutrz podjechałby pod jurtę gazik, z którego wysiadłoby dwóch niemających ochoty na żarty panów, w czarnych kapeluszach i tegoż koloru długich, skórzanym płaszczach (sam takich widziałem, bo ta międzynarodowa moda utrzymywała się w Mongolii jeszcze w latach siedemdziesiątych), a zaraz potem dojechałaby ciężarówka, na którą pod lufami zapakowano by naszych bohaterów i zawieziono na nieprzesadnie długie śledztwo z wiadomym zakończeniem.

Im dalej w głąb Mongolii, tym częściej pojawiają się w tekście duby smalone. „W drugim miesiącu podróży przez Mongolię trafiliśmy do wioski złożonej z ubogich domostw. Dla Europejczyka uderzający był brak płotów i w ogóle brak jakichkolwiek granic między obejściami. Wieś prowadziła pewnie wspólną go-

spodarkę i płoty były zbędne. Podeszliśmy do zbudowanego z kamienia domu o płaskim dachu. Na twar- do ubitym klepisku przed domem stał słup, wokół któ- rego chodził powoli wół [...] – młócił żyto” (s. 169).

To już chyba rekord! Ani jeden z użytych w tym opisie rzeczowników (wioska, wspólna gospodarka, domostwo, kamień, płaski dach, klepisko, słup, wół, żyto) nie ma przecież w Mongolii takiego odniesienia przedmiotowego! Za to, jak na ironię, istnieje to, co autor neguje – szczelne, wysokie płoty z desek często oddzielają poszczególne podwórza w miejskich i osa- dowych jurtowiskach. Późniejsze obrazy również zasłu- gują na ulokowanie w światowej księdze etnograficz- nych nonsensów: woły ciągnące wozy wyladowane snopkami, studnie do nawadniania pól, gdzie w kiera- cie chodzą kobiety, mongolskie modły odczytywane ja- koby z jedwabnej taśmy, wyciąganej z cylindra (jakieś echo młynka modlitewnego? ale z niego nic się nie wy- ciąga!), owce pieczone na rożnie (Mongolowie wy- łącznie gotują mięso).

Opis przekraczania pustyni Gobi przekracza grani- ce tolerancji i właściwie odbiera recenzentowi wiarę w sensowność jego krytyki. Autor niestety zupełnie nie wiedział, że jest to ogromna i geologicznie zróżni- cowana strefa, gdzie dziesiątkami kilometrów ciągną się najpierw partie skaliste i żwirowe (Czarna Gobi, Czerwona, Szara, Piaskowa i in.). W opisie Rawicza zostaje ona przedstawiona jak pustynia z obrazka: nic tylko piaszczyste wydmy, a po tygodniu chodzenia po nich wprost przed naszymi wędrowcami pojawia się ra- tująca od śmierci z pragnienia oaza, i to z palmami (ale za to bez ludzi, bo konwersacja byłaby zbyt trudna). A żeby nie wszyscy bohaterowie zmarli z głodu, po drodze aż roi się od wielkich węży, które dostarczają pożywienia przez cały rozdział (nie muszę mówić, że nic o nich nie wie mongolska herpetologia).

6.

Niech łaskawy Czytelnik sam sobie czyta dalsze banialuki. Zapewniam, że nie ma w nich ani jednej poważnej obserwacji, jaka mogłaby uprawdopodobnić przejście przez Sinkiang, Kansu, Tybet czy Himalaje. Chętnie dowiedziałbym się, jak wyglądała wówczas sytuacja w północnej części tego buntującego się ob- szaru: czy jeszcze trwają ruchawki lat 30., na fali któ- rych pojawiają się lokalni watażkowie i ich zbiry, ści- nający głowy na prawo i lewo? Z kolei w południowo- -wschodnim Tybecie, wzdłuż Himalajów – za przyczy- ną wojny trudne do wyobrażenia ożywienie: masowy ruch towarów, zarówno przemycanych z Indii do Chin, jak i dostarczanych tędy przez aliantów dla od- działów Czang Kaj-szeka walczących z Japończykami. A jednocześnie teokratyczna biurokracja lamów, ści- śle kontrolująca swoich, skrajnie nieufna wobec ob- cych i bardzo skutecznie broniąca im wstępu. Wie- dział coś o tym Heinrich Harrer, który – kiedy już sforsował ten mur – pracował dla tybetańskiej admi-

nistracji, w imieniu której odpisywał na prośby o wi- zy, składane w Indiach przez ludzi Zachodu. Wśród starających się byli chorzy na płuca, którzy upatrywa- li ratunku w wysokogórskiej krainie dalaj-lamy, ale decyzje były wyłącznie odmowne.

Nasz autor nie przedstawi ani jednej próbki takiej gęstej prawdy historycznej czy realiów etnograficz- nych, a przecież mógłby opisać choćby jednego lamę, przydrożne miejsce ofiarne – czortem, wygląd namio- tu albo klasztoru. Co najwyżej opowie bajeczkę, jak to konwersował sobie, znów po rosyjsku, z... Czerkiesem, który nie wyjaśnił mu jednak, jak i dlaczego przeniósł się tam spod Kaukazu. To ów górzał wskazał jakoby uciekinierom właściwą drogę, a objaśnienia tego star- czyło na cały Tybet. Kiedy więc bohaterowie na drodze do Lhasy (którą nie wiedzieć dlaczego ominą – cóż, w tym bogatym w szczegóły mieście autorowi groziła- by dekonspiracja... przez czytelnika), spotykają misjo- narza, i to ni mniej, ni więcej, tylko niemieckiego, to w porywie uczuć patriotycznych nie chcą z nim rozmawiać. Najwidoczniej nie potrzebują żadnych wskazó- wek; nie rozumiem tylko, dlaczego przynajmniej Mr. Smith nie był przytomniejszy.

Szło się im pewnie jak po maśle. „Gdy trzeba było, przepływaliśmy spienione rzeki [a żadnemu z wycień- czonych zbiegów nie zdarzyło się od początku trasy choćby dostać od tego kataru; w rzeczywistości w takich przeprawach tonęły nawet konie – JSW]. Forsowaliśmy góry, które [...] z bliska okazywały się dziwnie łatwe do przebycia” (s. 227). Na tym tle opis spotkania z parą yeti brzmi, muszę przyznać, zupełnie realistycznie. Pośpieszę z nieładnym podejrzeniem, że stworzył go zapisujący książkę ze słów Rawicza Ronald Downing, o którym wiem, że interesował się tą problematyką.

Czary mojej irytacji dopełnił za to sposób, wymyślo- ny przez autora, by wspiąć się na wyjątkowo stromą, za- śnieżoną przełęcz. Oto do niesionego od dawna kawał- ka drutu przywiązuje on ciężki kamień, przerzuca go na drugą stronę przełęczy i po tym drucie się na nią wcią- ga! To istne Himalaje groteski. Ale jak inaczej chłopak z Pińska, który pewnie nie był nawet w Zakopanem, mógł wyobrażać sobie pokonywanie tych gór w latach, kiedy na dobrą sprawę dopiero zaczynało je zdobywać?

Nie muszę mówić, że autor jest konsekwentny i do końca i nie podaje ani nazwy miejscowości w Indiach, do której trafia, ani żadnych szczegółów na temat tam- tejszej jednostki wojskowej czy jej oficerów – anoni- mowi ludzie bez narodowości, nazwisk, stopni. Podob- nie też rozpląną się w niebycie pozostali przy życiu bo- haterowie książki – najwidoczniej zbyt papierowi i ulotni, by dało się odnaleźć ich po wojnie.

7.

Ktoś, kto nie czytał książki, może spytać, czy na pewno nie ma w niej takiej oto furtki: że autor rozpo- czął ją jako opowieść o prawdziwych przeżyciach wię- zienno-lagrowych, a w pewnym momencie zaczął rela-

cjonować swe obozowe marzenie. Przecież, leżąc na obozowej pryczy, często uciekał na wolność – w myślach. Wyobrażał sobie krok po kroku drogę do Indii; snuł tę słodką myśl, konkretyzował ją, nadawał obrazom postać literacką. A potem, zapisując ją już w Anglii, tylko zrezygnował z wyraźnej granicy, zacierając przejście między jawą i marzeniem.

Nic w tekście nie wskazuje, by taka była geneza książki, a jej jednolicie prostoduszny styl wyklucza taką dwupoziomową interpretację. Zresztą przyjrzenie się pierwszej części, tej zupełnie prawdopodobnej, może zaowocować generalną wątpliwością, czy Sławomir Rawicz był w ogóle na dalekiej Syberii.

Zwróćmy uwagę na dwa epizody. Pierwszy to opis drogi konwoju więźniów z Irkucka nad Lenę, owe dwa i pół tysiąca kilometrów, przebyte pieszo, przez śnieg, na wspólnym łańcuchu. Otóż „tak naprawdę”, to taki konwój nie szedłby z Irkucka. Zawieziono by więźniów koleją transsyberyjską jeszcze dalej na wschód, do stacji Niewier. To właśnie stamtąd szły transporty towarów do Jakucji. Stalin polecił zbudowanie drogi-magistrali od Niewieru przez Tompo, Aldan, Ojmiakon do Magadanu dopiero w czasie wojny, ale przedtem też biegł tam szlak. Było stąd do Jakucka o półtora tysiąca kilometrów bliżej niż z Irkucka, co obniżało straty i koszty logistyczne. Jak pisze sam Rawicz, nawet eskortie zależało na doprowadzeniu na miejsce jak największej liczby żywych robotników.

Szczegół drugi – lapsus etnograficzny zdradzający zmyślenie. Podczas marszu w konwoju pomyśl późniejszej ucieczki podsuwa bohaterowi pewien napotkany w drodze stary... Ostiak, który jest tam akurat ze swym synem, saniami, reniferami i peroruje na temat wolności. Widocznie Ostiakom, tak jak Czerkiesom w Tybecie, parę tysięcy kilometrów odległości w lokalizacji nie robiło różnicy. Jak jednak znalazł się on w Jakucji, zważywszy że jego rodacy żyją nad dolnym Obem – chyba, że jako stalinowski więzień, co nie było niemożliwe, ale nie obejmowało reniferów.

Trzeba też powiedzieć – jakkolwiek dziwnie to zabrzmie – że Jakucja nie była krainą obozów. Oslawiona Kołyma i królestwo Dalstroju to był odległy, inny świat. Wprawdzie kwestie te nie są jeszcze dobrze przebadane, ale jakuccy badacze doliczyli się „tylko” 104 obozów, przy czym akurat w środkowej Jakucji (a właśnie tu miałby być Rawiczowy numer 303) łagrów nie było w ogóle!⁷ Nic zatem dziwnego, że wspomniany Sylvain Tesson rozpoczął swój marsz śladami Rawicza od jakiegoś starego łagru nad Ojmiakonem, a więc znacznie dalej na południowy wschód, a do tego na drugim brzegu Leny; notabene, późniejsze doniesienia internetowe na jego temat, pochodzące z Irkucka mówią, że przesiadł się już na rower.

Jak sugerowałem, podejrzanie często lapsusy Rawicza zdradzają, że jeśli miał on przed oczami jakieś obrazy (stereotypowe czy autentyczne), to pochodzą one raczej z południowych republik ZSRR: wszystkie te



Szamański nagrobek na skraju tajgi. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Jakucki alas: śródleśne łąki, samotne domostwo, stuletni koniowiąż. Fot. Jerzy S. Wasilewski

frukty, osły i karawany wielbłądów z bawełną są na Syberii zupełnie nie na miejscu. Parokrotnie powtarza się też idiotyczna myśl, by uciekać do Afganistanu, na który to pomysł nie wpadłby żaden więzień łagru nad Leną, a prędzej już ktoś, kto przebywał w środkowo-azjatyckiej części Gulagu. Może zatem autor przeszedł w rzeczywistości inną, bardziej typową drogę polskiego żołnierza-zesłańca: z łagru gdzieś za Uralem (tam mógł usłyszeć o Ostiakach) przez południe ZSRR do armii Andersa? Może to wspomniany Downing namówił go na przesunięcie scenerii ku Tybetowi, w czym miał swój interes ze względu na zainteresowanie dla tematu yeti? A skoro już punktem dojścia miała zostać kraina śniegów i Indie, to naturalniej było rozpocząć literacką ucieczkę gdzieś na wschodniej Syberii (im bardziej oddalonej na północ, tym dzielniej, no i ciekawiej dla czytelnika).

Uruchomiliśmy już mechanizm sceptycyzmu, zastrzemy więc podejrzliwość i pytajmy wprost: czy Rawicz był w ogóle w jakimkolwiek łagrze? Przecież opis przygotowań do ucieczki nie grzeszy prawdopodobieństwem (doradza ją nie tylko „stary Ostiak”, ale też żona komendanta obozu, która pomaga w jej przygotowaniu). Przemilczane są za to okrutnie rzeczywiste w łagrach kwestie kar za ucieczkę, losu złapanych, a także udziału tubylczych ludów Syberii w polowaniach na zbiegów, dezertów z armii, „agentów wroga” itp. Patrząc na to chłodnym okiem, trzeba powiedzieć, że grupa nowicjuszy nie miała w tajdze żadnych szans w konfrontacji z jakuckimi czy ewenkijskimi myśliwymi, którzy motywowani nagrodą – 50 lub 100 rubli, butelka spirytusu – dostarczali władzom obozów obcięte głowy lub ręce.

Można więc podejrzewać, że przy takich uwarunkowaniach pisać o ucieczce przez całą Syberię w konwencji przygodowej mógł tylko człowiek, który nigdy w łagrze nie był. Na dodatek obraz życia obozowego, jaki rysuje Rawicz, nie jest rozbudowany, a przecież wiemy, jak bogaty i różnorodny był to świat – pod względem ludzkim, przedmiotowym i językowym. Wszystkie te *urki*, *zeki*, *wory w zakonie*, *zona*, *kawecze* – u Rawicza jest takiej etnografii bardzo mało. No tak, nie każdy musi być Solżenicynem, Herlingiem czy Szalamowem.⁸

Są jednak w jego opisie nieliczne, ale zaskakująco autentyczne szczegóły; to może śmieszne, ale takim dotknięciem autentyku wydaje mi się opis towarzyszącej konwojowi specjalnie przerobionej ciężarówki na gaz drzewny.

Wprawdzie nie jest to żaden dowód, ale rosyjski badacz problematyki łagrowej Wieniamin Ioffe z zasłużonej w tych sprawach organizacji Memorial nie znalazł w archiwach Gułagu żadnych dokumentów na jego nazwisko; jest on też bardzo sceptyczny w kwestii jego ucieczki.⁹ Zdobądźmy się zatem na pytanie najbardziej podejrzliwe, najbezczelniejsze: czy Rawicz w ogóle przeszedł aresztowanie, więzienia, transport? Ile koloryzował, co usłyszał od innych, od dziesiątków Polaków, niemających pretensji literackich? Pytam, bo krytyczna lektura powieści rodzi wątpliwości już od samego jej początku. Oto bardzo młody człowiek traktowany jest przez maszynę NKWD, jakby był kimś bardzo ważnym – jego proces trwa długo i odbywa się na Łubiance, w samej Moskwie; autor nie ujawnia, czym zasłużył na takie zaszczytne traktowanie. Dalej, opisy zaliczanych więzień są bardzo schematyczne i znów tylko powieściowe – bez wymieniać prawdziwych ludzi, znanych postaci, dających się sprawdzić nazwisk współwięźniów, realistycznie przytoczonych rozmów na aktualne tematy.

Pamiętam jednak, że to pólliteracka konwencja mogła pociągnąć za sobą zafalszowania czy uproszczenia, które nie muszą być dowodem nieprawdziwości faktu aresztowania.

8.

Jedno nie ulega wątpliwości: Sławomir Rawicz istniał rzeczywiście, bowiem naprawdę zmarł – 5 kwietnia 2004 r., w swym domu pod Nottingham, pozostawiając kilkanaścioro dzieci i wnuków. W miesiąc później ukazało się w *Guardianie* wspomnienie pośmiertne pióra jego angielskiego znajomego, z którym ten pracował po wojnie jako technik ceramik. Nie podaje ono żadnego szczegółu, który uzupełniałby tekst książkowy – nekrologowa biografia rekapitułuje pokrótce książkowe zmyślenie. Podkreślona jest skromność Sława jako człowieka, jego religijność i umiłowanie wolności. Nie ma mowy o jednym choćby przedmiocie – gwoździu, pasku, kawałku druta – który autor wyniósłby i pokazywał jako pamiątkę tamtych lat.

Nie dowiemy się już zatem, co odczuwał skromny, przyzwoity człowiek, którego świat nagroził uznaniem i pieniędzmi za dokonania nieprawdziwe. Co myślał, kiedy musiał odpowiadać na pytania czytelników – a z obituarium wiadomo, że odpisywał z żoną na wiele listów, zwłaszcza od młodzieży. Jak ów miłośnik wolności znosił dożywotnie uwięzienie we własnej fikcji, jak się czuł, będąc – także przed najbliższą rodziną – zakładnikiem swego dawnego zmyślenia, od którego w miarę napływu propozycji kolejnych wydań, przekładów i spotkań z czytelnikami nie było już odwrotu?

I najgorsze – co czuł, gdy przypominał sobie (albo dowiadywał się) o losach tych więźniów łagru, którzy naprawdę, a nie w książkowej banialuce, spróbowali ucieczki. Takich jak ten szesnastoletni chłopak, którego złapano zimą po kilku godzinach, przetrzymano gołego przez dobę w karcerze, a potem na placu apelowym posadzono na klęczkach, związanego, z wbitym w ziemię zaostrzonym palem między pośladkami, w taki sposób, by wraz z postępującą utratą sił sam się nań coraz głębiej nabijał; po dwóch dniach dowódca obozu dobił go strzałem z rewolweru w potylicę...¹⁰

Pewnie to o takich momentach wspominał w przedmowie spisujący słowa Rawicza Downing: „Nie był zbyt emocjonalnym narratorem, pamiętam jednak, że przynajmniej trzy razy puściły mu nerwy i płakał” (s. 14).

Nie dowiem się nawet, jak Sławomir Rawicz wyglądał. Ani w pośmiertnym wspomnieniu, ani w książkach nie ma jego zdjęcia.¹¹

9.

Oczywiście także niewątpliwym uczestnikiem wydarzeń może po latach to i owo zapomnieć, jak ten weteran napoleoński, który pytany przez wnuki o odwrot spod Moskwy pamiętał tylko, że były wtedy straszne upały. Autor ma też prawo to i tamto zmyślić, a dobre zmyślenie nie podważa przekonania czytelnika o autentyczności reportażu jako całości. W jednym z syberyjskich rozdziałów swej podróży po *Imperium* Ryszard Kapuściński (skądinąd również pińszczanin) opowiada fa-

scynującą historię, jak to zimą na Dalekiej Północy idące rano do szkoły dziecko wyczuwa przed sobą korytarz odrobinę cieplejszego powietrza – wtedy wie, że przed nim siedzi już inny, nieco wyższy uczeń. Będąc w Jakucji w okolicach, gdzie temperatura minus 50 stopni jest zimą na porządku dziennym, pytałem, czy możliwe jest takie wyczuwanie ciepła; wszyscy zgodnie odpowiadali (a rozmawiałem także z wytrawnymi myśliwymi, uczulonymi na niuanse stanu natury), że to wykluczone.

Jeśli etnologia podjęłaby się roli nauki o ucieczkach, to tym bardziej mogłaby się zająć zmyśleniami. Ma już swoich słynnych fantastów, jak Carlos Castaneda, który rewelacjami o nadzwyczajnych mocach meksykańskiego czarownika najpierw zasłużył sobie na doktorat na UCLA, a potem na jego odebranie (a mimo to wydawnictwo tego uniwersytetu do dziś wydaje jego bestsellery). Nasza nauka zajęła się już takimi fałszami, choć były to raczej miłe przyczynki. Oksfordzki etnolog Rodney Needham przedstawił parę barwnych przypadków, w tym niejakiego George'a Psalmanaazara, który w Europie pierwszych lat XVII wieku zasłynął jako przybysz z Formozy i jej znawca (wtedy jeszcze Tajwan był praktycznie nieznanym); zaprezentował on pochodzącą li tylko z jego własnej wyobraźni całościową konstrukcję tamtejszej kultury, społeczeństwa, historii, religii, pisma, języka etc., zyskując uznanie kręgów naukowych i towarzyskich.¹²

Nie był zatem Rawicz pierwszy, nie będzie i ostatni. Im ryzykowniejszy przedmiot fałszywej identyfikacji, tym większa pokusa sławy, ale też większe ryzyko kompromitacji. Pod obozy, wojnę, Holocaust też już się podszywano. Było zmyślane dzieciństwo w Oświęcimiu – zdemaskowane „pamiętniki” *Bruchstücke* Benjamina Wilkomirskiego, który, jak się okazało, jeśli widział Auschwitz i Majdanek, to tylko jako turysta. Pamiętamy kontrowersje wokół *Malowanego ptaka* Jerzego Kosińskiego, perwersyjnego zmyślenia zaprezentowanego jako świadectwo okupacyjnej dziecięcej tulaczki.

Bo też czytelnik nie chce delectować się jawną fikcją; nabywca, domagający się najbardziej niewiarygodnych historii wewnątrz książki, żąda, by na obwołanie zapewniała go ona o swej absolutnej prawdziwości. Błaga będzie bestsellerem pod warunkiem, że przytrzyma nas w dwoistym poczuciu obcowania z tym, co niewiarygodne, ale prawdziwe. Rozszyfrowane kody Leonarda, literatura spisku i odkrycia wieczystej tajemnicy zawsze są opatrzone klauzulami prawdziwości. Czy nie taka jest zresztą charakterystyka mitów, które nie zdarzyły się nigdy, ale są prawdziwe zawsze?

Może zresztą wytaczam zbyt potężne armaty, a tu raczej trzeba westchnąć „*sancta simplicitas*” i pogodzić się z prawami literatury naiwnej i piśmiennictwa amatorskiego? Tak przynajmniej twierdzi mój rosyjski przyjaciel, folklorysta Sasza Gura, który uznaje za ciekawą cechę mentalności autora „skłonność do marzycielstwa, romantycznych fantazji o dalekich podróżach,

charakterystyczną dla przedstawiciela polskiej kultury prowincjonalnej”.

Tacy zmyślacze, jakie ich czasy. Nie pytajmy autora, dlaczego jest naiwnym fantastą; pytajmy, jak mógł mu uwierzyć czytelnik. W przypadku *Długiego marszu* rysują się trzy domeny, w obrębie których można szukać odpowiedzi na to pytanie.

Pierwsza z nich to styl samego dzieła. Jest w nim trudny do odparcia – bo niby-prostoduszny – swoisty emocjonalny szantaż: prostolinijnością, ułańską szlachetnością, patriotyzmem, wiarą w opatrność, umiarkowaną boleściwością, łagodzoną siermiężnym humorem. Potraktowany wstępną martyrologią czytelnik przechodzi na odbiór emocjonalny – wyłącza krytycyzm, nie waży się nawet sam przed sobą kwestionować szlachetności autora-ofiary, zawiera narratorowi. Jak chyba w każdym przypadku „wierzenia w coś”, działa tu zarówno czynnik zewnętrznego przymusu (autorytet, doxa, przekonanie ogółu), jak i wewnętrzne pragnienie odbiorcy, by to była prawda – by dobro zwyciężało ze złem, a życie ze śmiercią.

Drugi obszar to kulturowa (nie)kompetencja czytelników, w tym także osób, które wzięły się do recenzowania książki: brak etnograficznej wiedzy o Wschodzie, o realiach obyczajowych i językowych, o praktycznym wymiarze uwarunkowań środowiska naturalnego. Autor, piszący zaraz po wojnie o Syberii, Mongolii czy Tybecie (a też o łagrach), mógł mieć poczucie bezkarności – dość słusznie uważał, że zwykły czytelnik też nic o nich nie wie, a co najwyżej ma schematyczne wyobrażenie, które wystarczy powielić.

Dziś wprawdzie wiemy więcej, ale za to silniej działają okoliczności trzeciej płaszczyzny – mechanizmów przekazu medialnego, w strumieniu którego funkcjonuje także i ta książka. Bardziej niż w czasach jej debiutu zatarta jest obecnie granica między wirtualnym a realnym. Poczekajmy jeszcze trochę, a zobaczymy, że kreacja George'a Clooneya (bo to on kupił prawa do ekranizacji *Długiego marszu*) w połączeniu z hollywoodzką reklamą filmu jako historii autentycznej ustalą na zawsze kwestię jego prawdziwości w masowym odbiorze. W czasach, w których za rzeczywistość uchodzi telewizyjne *reality*, wszystkim nam coraz mniej zależy na tym, by wiedzieć naprawdę, czy coś jest faktem historycznym, czy medialną kreacją – czy *e vero*, czy tylko *bene trovato*.

10.

W prawdziwym świecie, aby wyjść żywym z opresji – a też by napisać wiarygodną o tym relację, a nawet by odróżnić prawdziwą opowieść od fałszywej – warto wiedzieć, ile jajek potrzeba do zrobienia omletu.



Buddyjskie stupy. Fot. Jerzy S. Wasilewski



Miejsce ofiarne u podnóża świętej góry. Fot. Jerzy S. Wasilewski

Przypisy

- ¹ J.G. Frazer, *Gorgona's Head and Other Literary Pieces*, London 1927, s. 370-372
- ² E. Kajdański, *Tajemnica Beniowskiego. Odkrycia, intrygi, fałszerstwa*, Warszawa 1994. Tytułowe intrygi i fałszerstwa to rosyjskie działania – poczynając od kontrofensywy ambasady w Paryżu – mające zdezwuować zesłańca, który skompromitował imperium carycy Katarzyny w oczach świata. Nic też dziwnego, że i dziś rosyjscy uczeni są sceptyczni w kwestii prawdziwości tej relacji – patrz: D. Griffiths, *Maurice August Benyowsky. A Military Adventurer in Revolutionary America*, „Mir Istorii. Rossijskij Elektronnyj Żurnal”, nr 4/2002, przyp. 7 (www.historia.ru/2002/04/griffiths.htm).
- ³ S. Rawicz, *The Long Walk*, London 1956; wyd. polskie: *Długi marsz*, Gdańsk 2001 wydawnictwo Gord (dalsze cytaty z podaniem tylko numeru strony według tej edycji). Wydanie polskie podaje jako oryginał tytuł angielski – byłoby to zatem tłumaczenie, dlaczego jednak anonimowe? Czy Rawicz sam napisał tekst polski?
- ⁴ A. Applebaum, *Der Gulag*, Berlin 2002, s. 426, 671; R. Mesner, *Yeti*, Warszawa 2002. Rosyjskie głosy o książce i doniesienia o wyprawie Tessona: http://l.russ.ru/issue/6/20010816_knigi.html; www.gazetayakutia.ru/read.asp?id=30103-13&dates=5/6/2003; <http://lib.ru/PRIKL/SHKLYARSKIJ/tomek04.txt> <http://www.bgtrk.ru/module.php?name=news&go=dat&fid=2747> <http://www.vgtrk.com/rnews.html?sid=22&id=14248&date=04-07-2003>
- ⁵ T. Lisiecki, *Sławomira Rawicza ucieczka z łagru* 303, „Prace Uczestników Studium Doktoranckiego” [UŚ], t. 1, Opole 2002, s. 134; C. Chlebowski, *Ciemista droga Długiego marszu*, „Tygodnik Solidarność”, nr 9/2002, s. 14
- ⁶ K. Rengarten, *Pieszko do Chin. Wrażenia z podróży*, Warszawa 1899, s. 46
- ⁷ E. Alekseev, *Priznaju vinovym. Slużba bezopasnosti Respubliki Sacha (Jakutija)*, Moskwa 1996, s. 92
- ⁸ Warto by też sprawdzić, jak relacja Rawicza prezentuje się na tle całościowego obrazu łagru, wylaniającego się z dziesiątków nie-literackich zapisów; materiał do takiego porównania zestawia np. I. Sariusz-Skapska, *Polscy świadkowie GUŁagu. Literatura łagrowa 1939-1989*, Kraków 2002
- ⁹ Opinię tę przywołuje Applebaum, ale nie odważa się dyskredytować dzieła Rawicza, które raz i drugi cytuje jako dokument.
- ¹⁰ S. Waydenfeld, *Droga lodowa*, Lublin 2002, s. 123
- ¹¹ Już po napisaniu tego tekstu natrafiłem na wcześniejsze polskie wydanie (1993, Londyn-Warszawa, wydawnictwo Unicorn) z podobizną autora, a także bogoojczyźnianymi wstępami jego oraz Ryszarda Reiffa. Nie ma w nich ani słowa uwiarygodniającego ucieczkę, lecz jedynie martyrologia, Katyń i Jalta. Oba te teksty znikły z następnych wydań – szkoda tylko, że wraz ze zdjęciem.
- ¹² R. Needham, *Exemplars*, Berkeley 1985, s. 75-116
- ¹³ Janusz Głowacki, pisząc o zakończonej samobójstwem ucieczce Kosińskiego od własnej mistyfikacji, przypomina słowa Audena, że „jak się raz zacznie uciekać, to potem nie ma już ucieczki od ucieczki”, J. Głowacki, *Z głowy*, Warszawa 2004, s. 261